

# ZYGZAK

## ROZDZIAŁ 1

Twarz senatora Piotra Kamińskiego jak zwykle wyrażała spokój. Tak naprawdę prawie każdy, kto miał okazję spotkać senatora, odnosił wrażenie, że ma do czynienia z oazą spokoju.

Słowo „prawie” jest tu o tyle istotne, o ile ważną w życiu Kamińskiego postacią - wciąż niestety, był jego najzacieklejszy przeciwnik polityczny Paweł Gurdoł, poseł zresztą.

Słynne kłótnie Piotra i Pawła wywoływały rozbawienie dziennikarzy i przyciągały wyborców do telewizorów skuteczniej niż brazylijskie seriale. Z obu powodów panowie szybko stali się częstymi gośćmi przy Woronicza 17 w Warszawie oraz, jak nietrudno zgadnąć, w mnóstwie prywatnych stacji telewizyjnych i radiowych.

Już sam ich widok, siedzących naprzeciwko siebie, gwarantował wydawcom programowym kasowe widowisko. Sucha, drobna twarz pięćdziesięcioletniego Gurdoła, o nieprawdopodobnych możliwościach mimicznych, zdradzająca neurotyczną wręcz potrzebę parcia w konflikt, a naprzeciwko niej - posągowe oblicze o kilka lat starszego Kamińskiego. Posiwałe, choć gęste włosy, zadbane, również szpakowate wąsy, bystry wzrok.

Oczywiście jasne było, że prędzej czy później „rozmowy” te będą nieuchronnie zmierzać ku otwartej i zażartej bitwie o wrogie postawy wobec Kkościola, tak zwane wartości rodzinne, aborcję i wychowanie chrześcijańskie. Czyli o to wszystko, o czym społeczeństwo słyszało już tysiące razy i jak niezbitcie wykazały badania, dyskusji na ten temat miało serdecznie dość. To powodowało, że Kamiński i Gurdoł pozostawali lekko za peletonem, ale właśnie im, jedynym chyba na scenie politycznej, wciąż jeszcze wybaczano te „ekscesy”, dzięki czemu mogli konsekwentnie trzymać się swoich ról. Ponownie sprawdzała się stara prawda, że ulubioną rozrywką polskiego społeczeństwa jest permanentne wkurzanie się przed telewizorem.

Inna sprawa, że fanatyczny i agresywny ton, jakim przemawiał Gurdoł, mógł wprowadzić z równowagi samego Jezusa Chrystusa, z czego zdawali sobie

sprawę nawet koledzy partyjni posła. W przewrotny sposób uspokajało to senatora Kamińskiego, usprawiedliwiało bowiem ogromną dawkę adrenaliny w jego krwi w czasie tych spotkań.

Ekstremalnie prawicowego typu myślenia Pawła Gurdoła nijak nie dało się zreformować liberalną retoryką Kamińskiego, co napawało brać dziennikarską nadzieją, że ten pełen kolorytu serial z posłem i senatorem w rolach głównych nigdy się nie skończy. Swoją drogą ciekawe, że Gurdoł nie obrał sobie za ulubionego przeciwnika kogoś z klasycznej lewicy, tylko centrowego polityka z partii liberalnej.

Tego dnia jednak senator miał znacznie większy problem niż pyskówka w telewizji.

- Do cholery! - mruknął do siebie i przygryzł nerwowo wargi.

Mimo, że robił to już dzisiaj dziesiątki razy, ponownie spojrzał na teczkę, która spoczywała na fotelu pasażera jego toyoty.

Samochód lekko szarpnął, więc silniej chwycił kierownicę. Był dobrym kierowcą. Prowadził pewnie i spokojnie. Stara, wysłużona corolla miewała grymasy, ale raczej nie zawodziła. Lubił ten wóz i nie zamierzał go sprzedawać. Senator często przywiązywał się do przedmiotów ze swego otoczenia. Z samochodami było podobnie. Wyglądało na to, że będzie to kolejne auto Piotra Kamińskiego, które wyzionie ducha, dostojnie rozsypując się w jego garażu, nie poznawszy drugiego właściciela.

Ulice świeciły pustkami, co nie było niczym dziwnym, zwłaszcza że właśnie minęła druga w nocy. Nastrój opustoszałej stolicy wzmagął co prawda delikatnie niepokój senatora, ale jego twarz nie zdradzała niczego niezwykłego. Przemęczenie widoczne w oczach polityka mogło być równie dobrze skutkiem pobytu na przydługim raucie o niekoniecznie fascynującym przebiegu.

Prawda jednak była taka, że najzwyczajniej w świecie się bał. I choć ten nieznośny niepokój, który niczym mały, ale niezwykle uparty krasnoludek wędrował od żołądka aż po samo gardło i z powrotem, nie dawał o sobie zapomnieć, na twarzy senator zachowywał jeszcze pozory niezmiennego opanowania.

Kaszlnął nerwowo. Mdłości zaczęły przybierać na sile, więc szybko opuścił szybę. Wiosenne powietrze uderzyło go w twarz i przyniosło chwilową ulgę.

Minął właśnie „Błękitny wieżowiec” na placu Bankowym, przeciął Aleję Solidarności i wjechał w ulicę Andersa. Zwolnił, aby wytrzeć boczne lusterko.

Zrobił to bardziej dla opanowania nerwów niż ze względu na lepszą widoczność. Przy okazji rozejrzał się uważnie, dzięki czemu dostrzegł czarnego volkswagena golfa, który pojawił się za nim właściwie nie wiadomo skąd.

Z braku zajęcia zainteresował się chwilowym towarzyszem. Za kierownicą golfa tkwił niewielki człowieczek, raczej w okularach, ale senator nie był tego pewien. Światła samochodu zbyt go oslepiały.

Myśl, która właśnie wpadła mu do głowy, wydawała się dość głupia, ale mimo wszystko postanowił skrócić kilka razy bez ostrzeżenia w małe uliczki. Ponownie zerknął w lusterko i wolno wypuścił powietrze z płuc. Golf zniknął.

- Cholera! - wyrwało mu się ponownie, gdy dojrzał niewidoczną z daleka na tle ciemnego asfaltu sporą kałużę.

Corolla wpadła w lekki poślizg, ale łatwo dał sobie z tym radę. Po chwili wrócił na główną ulicę, licząc na to, że pomoże mu lepsze oświetlenie drogi.

- Chyba jednak jestem przeczulony - mruknął do buldoga przymocowanego na półce przed przednią szybą i wytarł chusteczką spoczone czoło.

Dojazd do Izabelina zajął mu jeszcze dwadzieścia minut.

Chwilowa samotność dobrze mu służyła. Zarówno żona, jak i córka jego zdaniem raczej nie ułatwiały mu pracy. Urlop, który spędzały w małym domku w Łazach, kupionym zresztą za psi grosz prawie dwadzieścia lat temu, dawał Kamińskiemu przynajmniej raz w roku czas na nieskrępowaną pracę. Sam również lubił tam jeździć, ale bardziej latem niż wiosną. Natomiast obie panie każdego roku z niewiadomych powodów wyjeżdżały na początku maja i opijały nad morzem święto robotnicze oraz kolejne rocznice konstytucji 3 maja dużymi ilościami ginu z tonikiem i odrobiną cytryny. Po tygodniu zwykle wracały, aby w lipcu wyjechać ponownie, tym razem już w towarzystwie zmęczonego całym rokiem senatora.

Zofia Kamińska - żona wieloletniego działacza podziemnej Solidarności, a po roku 1989 czynnego polityka - swój strach z lat osiemdziesiątych zamieniła na nie skrywaną dumę. Wyrażała ją na różne sposoby, na przykład wypracowaną nigdy w pocie czoła reprezentacyjną, jak sądziła, miną. Pewna złośliwa kobieta z sąsiedztwa stwierdziła kiedyś, że w tym celu pani Kamińska długo obserwowała stado pawli mieszkających na stałe w Parku Łazienkowskim.

Choć opinia ta mogłaby się okazać trochę krzywdząca, to trzeba przyznać, że pani Zofia wciąż nadużywała zdania: „To jest właśnie, drogie panie i drodzy panowie, mój mąż”.

Nie miała konkretnych poglądów politycznych, choć niezmiernie lubiła wtrącać się do spraw męża, być może znudzona rolą kobiety mało czy też raczej w ogóle nie pracującej.

Jej córka Magda - jak to kiedyś sama elegancko ujęła - olewała wszystko z góry, od pewnego czasu zajmując się głównie własnymi sprawami. Dzieliła swoją miłość do rodziców po równo, nie cofając się wszakże nigdy przed zjadliwym cynizmem, gdy tylko była zmuszona do rozmowy o polityce.

Po ukończeniu studiów szybko znalazła pracę w jednej z firm komputerowych na dziwnie brzmiącym stanowisku *internet shareware programing supervisor* (jej matka nigdy nie zrozumiała, na czym to polega) i temu się całkowicie oddała. W tym czasie spławiła kilku kandydatów na męża, których chorobliwie podejrzewała o większe zainteresowanie swoim ojcem niż nią samą. Staropanieństwo jej raczej nie groziło - była młoda i atrakcyjna - ale mimo całej miłości, jaką darzyła ojca, nie znosiła uchodzić za element na jego dworze.

- Pewnie przyjadą jutro po południu - przypomniał sobie Kamiński, wchodząc do domu.

Willa była duża i starannie urządzona w starym, choć może zbyt koturnowym stylu. Zdaniem senatora jej projektant nie miał zmysłu praktycznego. Nazbyt obszerny przedpokój, niepotrzebne aż dwie łazienki, kuchnia połączona z salonem – wszystko to powodowało, że Piotr Kamiński od dawna namawiał żonę do przeróbek, ale na razie bez skutku. Pod jej wpływem kupił ten dom od przyjaciela, także dzięki niej wszystko tu na razie pozostawało bez zmian. Jedyne innowacje, jakie udało mu się przeforsować, dotyczyły kilku jego ulubionych mebli. Zamiłowanie do staromodnego wystroju wyniósł jeszcze z domu rodzinnego, ale tu nie napotykał oporu ani żony ani córki. Co do reszty – bez większych protestów ustępował, zdając sobie sprawę, że ta willa to właściwie jedyna rzecz, na którą pani Zofia ma decydujący wpływ.

Senator wszedł do pokoju zwanego przez rodzinę „brązową biblioteką” i rozejrzał się. Umiłowanie porządku – cecha, którą na szczęście dzielił z żoną - widoczne było już na pierwszy rzut oka. Książki, starannie ułożone na półkach według wielkości, tematyki, a nawet wieku, pokrywały całą niemal

powierzchnię ścian, aż po sufit. Pośrodku stał niewielki stoliczek, przed nim krzesło, metr dalej – dwuosobowa, nieduża, ale wygodna skórzana kanapa, obok niej fotel. Dominował tu oczywiście brąz, ale sufit pomalowany był na biało, co zdaniem pani Zofii miało wprowadzić trochę światła.

Senator wciąż nie mógł zapomnieć o kłopotach niesionych w teczce pod pachą, ale był pewien, że te kilka godzin snu, które mu jeszcze pozostały do świtu, pozwoli spojrzeć na całą sprawę z innej, może lepszej perspektywy. Ze wstydem przyznał się sobie, że tydzień bez jego kobiet upłynął mu zbyt szybko. Zdjął marynarkę, powiesił ją starannie na krześle i przez chwilę rozważał możliwość przeczytania kilku stron rozpoczętego poprzedniego wieczoru *Domu na Sekwanie* Whartona, ale gdy przypomniał sobie, która jest godzina, zrezygnował. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i postanowił trochę odpocząć. Teczkę ostrożnie - jakby była ze szkła - położył na stoliczku i lekko zmrużył oczy. Po chwili jednak otworzył je ponieważ wydawało mu się, że usłyszał lekkie chrobotanie na schodach.

- Dzyndzel, to ty? - spytał cicho, licząc, że to tchórzofretka Magdy stara się zejść na dół.

Powoli unosił się z fotela, gdy na ścianie przedpokoju widocznej przez drzwi biblioteki, zaczął się powiększać jakiś cień. Światło padało od strony przedpokoju, ale pochodziło od małej lampki wiszącej tuż przy drzwiach wejściowych.

Cień był słabo widoczny, lecz senator dostrzegł go ponad wszelką wątpliwość. Gdy w drzwiach pojawił się niewysoki mężczyzna w okularach, Piotr Kamiński zdążył już wstać.

Mężczyzna wymierzył pistolet w senatora, ale przez chwilę nie strzelał, być może chcąc się dokładnie przyjrzeć, czy osoba, którą widzi, jest tą, którą spodziewał się tu zastać.

Polityk nie miał jednak czasu nawet na to, aby zacząć się bać. Zdążył tylko dostrzec, że pistolet jest nienaturalnie długi za sprawą tłumika. Dwa strzały powaliły go z powrotem na fotel. Głowa, którą przeszły kule, uderzyła mocno o ramię mebla, ale senator tego nie czuł. Już nie żył.

Mężczyzna podszedł bliżej, wciąż trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. Gdy się upewnił, że ofiara jest martwa, otworzył teczkę, po czym mruknął z zadowoleniem. Następnie zamknął ją, przebiegł wzrokiem po bibliotece i zaczął dokładnie przeszukiwać dom.

Kierownik produkcji stał pośrodku studia numer 3 i był wkurzony. Przeniesienie *Porannej rozmowy z politykiem* z małej „szóstki” do przynajmniej cztery razy większego studia, w którym się właśnie znajdował, uważał za nonsens. Tyle już razy dzisiaj pukał się w głowę z tego powodu, że narobił sobie siniaków na czole.

- Przyszedł, do cholery, czy nie?! - huknął przez mikroport leżący beczynnie na stole i choć był aż nazbyt dobrze słyszany w reżyserce na górze, odpowiedział mu łagodny i raczej niezbyt donośny głos Marty Karskiej:

- Jeszcze go nie ma, Waldziu.

- A gdzie jest Adam? – spytał, po raz kolejny bezskutecznie przyglądając niezmiennie sterczące włosy.

- Wpadł tu na chwilę do mnie, czekamy.

- „Na chwilę”, akurat w to uwierzę - mruknął pod nosem, wyłączając mikroport, aby nikt go nie usłyszał, szczególnie Adam Kniewicz - wydawca dzisiejszej *Rozmowy...* i bądź co bądź, jego szef.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że Kniewicz spotyka się od kilku miesięcy z piękną realizatorką dźwięku, choć oni sami usiłowali specjalnie się z tym nie afiszować.

W telewizji jednak mało jest rzeczy, które dałoby się ukryć przez ogółem kolegów, i każdy, kto pracował tu choćby pół roku, z pewnością miał okazję przekonać się o tym wielokrotnie. Plotki rozchodziły się na Woronicza szybciej niż prąd w kablach nad studiami, a wystarczyło dłużej zatrzymać wzrok na kimś, kto wyglądał tak jak Marta, aby można było zapomnieć o jakiegokolwiek tajemnicy.

Adam stracił wszelkie złudzenia już kilka lat temu, kiedy to pierwszy raz w kawiarence, właśnie przed „trójką”, pozwolił sobie na swobodną krytykę prowadzącego program. Był niedoświadczonym redaktorem świeżo po studiach i nie wiedział jeszcze, że pole minowe to plac zabaw w porównaniu z korytarzami bloku F przy Woronicza 17.

Gdy wysuszył szklankę z sokiem pomarańczowym, poszedł do pokoju redakcyjnego po drugiej stronie bloku, jakieś dwieście kroków od „trójki”. Kiedy tam dotarł, wszyscy wiedzieli już o nieroztropnych uwagach żółtodzioba, nie wyłączając samego zainteresowanego. Można się domyślić, że nie pomogło to Kniewiczowi w i tak niełatwej karierze. Szczęście wszakże sprzyjało mu -

dzięki kilku życzliwym starszym kolegom szybko nauczył się unikać niebezpieczeństw i od pewnego już czasu pełnił funkcję producenta, co jak na trzydziestolatka było sporym osiągnięciem. Miał świadomość starej dziennikarskiej prawdy, że szczególnie w telewizji, ci życzliwi stanowią zdecydowaną mniejszość, ale czuł się względnie bezpiecznie. Potrafił wyczuwać wszelkie zagrożenia na długo przed pojawieniem się problemów, a instynkt na razie go nie zawodził.

Marta spojrzała na zegarek.

- Jeszcze pięć minut i może być problem.

- Nie martw się, przyjdzie – mruknął spokojnie Adam. - Jest w końcu prokuratorem generalnym, będzie chciał się z tego jakoś wytłumaczyć.

Marta odsunęła trochę swoje krzesło od konsoly, aby Adamowi wygodniej było bawić się jej włosami. Za szybą realizator obrazu przysypiał na stole.

W reżyserce dźwięku oprócz nich nie było nikogo, nie widziała zatem powodu, aby rezygnować z tej przyjemności. Dziesięć suwaków, służących do regulowania poziomu dźwięku z poszczególnych mikrofonów, znajdowało się wciąż w pozycji „0”, gotowych do podłączenia kanałów w studiu na dole. Marta ustawiła pokręta korektorów umieszczonych na konsoli powyżej suwaków w pozycjach przystosowanych do studyjnych wywiadów i czekała na sygnał.

- Wiesz, że w „trójce” umierają papugi? - spytał nagle Adam.

- Papugi?

- Tak. Ilekroć ktoś przyniesie klatkę z papugami, niezależnie od tego, jaki to gatunek, nie mijają dwie godziny, a one klap. Chyba klimat im tu nie służy.

- Nie wygłupiaj się - Marta nie mogła powstrzymać śmiechu - przecież tu nagrywają od cholery programów ze zwierzakami.

- Mówię poważnie. W tym momencie Kniewicz nie wyglądał na poważnego.

- Powiedział mi to ten chudy okularnik, który kiedyś robił *Kawę czy herbatę*.

- Pan prokurator jest już w studiu! - usłyszeli z głośnika.

Adam uszczypnął pieszczotliwie Martę w szyję i wyszedł do reżyserki wizji.

- Jacek! Ręce na koldrę! - rzucił do zaspanego realizatora.

- Jest?

- Siedzi na dole. Gdzie Andrzej?

- W kiblu, ale jest już podpięty.

- Marta! - Kniewicz nacisnął przycisk przy mikrofonie, aby mogła go słyszeć.

- Słucham.

- Jacek mówi, że Andrzej ma już mikroport. Sprawdziałaś dźwięk?  
 - Właśnie to robię. Wszystko gotowe, chcę jeszcze tylko sprawdzić gościa.  
 - Panie prokuratorze - tym razem wydawca nacisnął włącznik interkomu, umożliwiając rozmowę ze studiem na dole - czy mógłby pan powiedzieć kilka słów? Chcemy sprawdzić dźwięk.

- To pan, panie Adamie? - spytał zachrypniętym głosem prokurator.

- Tak. Jak samopoczucie?

- Bywało lepiej, ale mam nadzieję, że po rozmowie z panem Andrzejem humor mi się poprawi.

- Jestem tego pewien - skłamał Kniewicz i spojrzał pytająco na Martę.

- U mnie w porządku, jestem gotowa - oświadczyła zarówno Adamowi, jak i wracającemu do studia prowadzącemu. Ten miał wyraźnie weselszą minę niż kilka minut wcześniej, gdy wychodził do ubikacji.

- Chłopaki... - zwrócił się wydawca do operatorów.

Wszyscy poruszyli dwukrotnie swoimi kamerami z góry na dół, co było znakiem gotowości. Adam dostrzegł to na monitorach kontrolnych umieszczonych nad konsolą. Prokurator sprawiał wrażenie opanowanego, ale Kniewicz wiedział, że to tylko pozory. Oko kamery potrafiło zręcznie ukrywać oznaki napięcia, a Adam umiał to wykorzystać. Potrzebował dzisiaj możliwie najbardziej wyważonej wypowiedzi, choć na rewelacyjną szczerłość nie liczył. Chciał jednak uniknąć niepotrzebnej nerwówki, bo - o czym wszyscy wiedzieli - rozdrażniony prokurator zamknąłby się jak żółw w skorupie i byłoby po programie. Na razie z rumianego oblicza gościa tryskała pogoda ducha, a specjalny cielisty podkład i trochę pudru uczyniły je przyjemnie matowym, co w telewizji szczególnie dobrze wyglądało. Polityk był dość otyły, tak więc Adam doradził mu, aby pojawił się w ciemnobrązowym garniturze. Na stonowanym niebieskim tle osoba prokuratora prezentowała się bardzo dostojnie, co sam zainteresowany skwapliwie dostrzegł na monitorze pomocniczym.

- Uwaga, za trzy minuty wchodzimy! – rzucił do wszystkich Kniewicz.

- Dwójka, daj ogólny - mruknął zaspany jeszcze realizator. - Jedyńka, bardziej w lewo. Trójka, zbliżenie gościa.

- Andrzej! Co jest z tym twoim kołnierzykiem? – skrzywił się Adam.

- Jasny garnitur prowadzącego nie wyglądał dziś jego zdaniem najlepiej.

- Musieli umazać mnie pudrem w charakteryzatorni.

- Waldziu! - huknął Kniewicz do kierownika produkcji. - Możesz coś z tym zrobić?

Waldzio spojrział nerwowo na zegarek i podbiegł do prowadzącego. Chwilę później po pudrze na koszuli nie było śladu.

- Jeszcze trzydzieści sekund... - oznajmił leniwie realizator.

- Spadam - rzucił Waldzio, umykając sprzed kamer.

- Andrzej, uśmiech numer trzy!

Prowadzący wyciągnął się jak struna na swoim krześle i czekał na wejście czołówki.

Znany sygnał obudził prokuratora z zamyślenia. Niełatwo przyjdzie mu wytłumaczyć telewidzom, dlaczego dochodzenie w sprawie nadużyć i peerelowskiej działalności lewicowego posła Longina Rotha prowadzone jest tak ślamazarnie. Atakowany ze wszystkich już prawie stron, prokurator wił się jak węgorz na każdej konferencji prasowej, ale jakoś nie potrafił przekonać do siebie dziennikarzy.

Największym politycznym wrogiem zarówno jego, jak i Rotha był prawicowy poseł Ryszard Poznański, zresztą kolega partyjny Pawła Gurdoła. Wczorajszy spór w Sejmie z tym pierwszym zmusił prokuratora do dzisiejszego występu.

Wstęp prowadzącego *Poranną rozmowę z politykiem* był trochę przydługi, choć niewątpliwie na temat. Niezależnie od tego, co mówił, wyuczony uśmiech niezmiennie tkwił na jego przystojnym obliczu, wzbudzając zachwyt większości pań przygotowujących właśnie w domach śniadania dla rodzin lub robiących na drutach w łóżku.

Ich mężowie czekali cierpliwie, aż dziennikarz wreszcie łaskawie się zamknie i da mówić prokuratorowi.

- Na początku chciałbym zwrócić państwa uwagę na to - rozpoczął gość - że oskarżenia posła Poznańskiego wynikają przede wszystkim z nieznamości procedury...

- Niewiele się chyba nowego dowiemy - westchnął cicho Adam, obserwując uważnie ekran emisyjny.

- Ja myślę, że obieca przyspieszenie śledztwa - zawyrokował realizator, włączając przebitkę prowadzącego.

Marta pokiwała tylko z powątpiewaniem głową. Wciąż wpatrywała się we wskaźniki dźwięku, nie wierząc, że te dzisiejsze dziesięć minut cokolwiek zmieni.

- Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć - tokował prokurator - że dotychczasowe działania zostaną jeszcze bardziej przyspieszone...

- Mam u ciebie ciastko - mruknął z zadowoleniem realizator do Adama, po czym włożył sobie do ust gumę do żucia.

Jacek przerabiał codziennie tony gumy do żucia, co zdumiewało Kniewicza o tyle, że realizator potrafił żuć, nawet przysypiając na konsolcie przed programem.

- Ile jeszcze? - spytał wydawca.

- Trzy minuty - odpowiedział Jacek.

- Waldziu... - wywołał Kniewicz szeptem kierownika produkcji, który właśnie spojrzał w górę na wielką szybę, oddzielającą reżyserkę od studia. - Pokaż im trzy minuty...

Waldzio pokiwał głową, po czym ustawił się za pierwszą kamerą tak, aby widział go prowadzący, i pokazał mu trzy palce.

Prokurator zrezygnował ze złośliwości pod adresem opozycji i zdecydował się na pojednawczy ton, tak więc ostatnie trzy minuty rozmowy wykorzystał na mniej lub bardziej bezpośrednie udowadnianie widzom, że najważniejsze jest to, co przed nami, a nie za nami.

Kierownik produkcji złożył dłonie w literę „T”. Prowadzący, podziękowawszy gościowi, poświęcił następne kilka chwil gospodyniom domowym i paniom robiącym na drutach, aż wreszcie - ku uldze ich mężów - zakończył program.

- Pójdę się z nim pożegnać - rzucił Adam i wyszedł z reżyserki.

Na dole prokurator kończył rozmowę z prowadzącym, który łąsił się do niego tak służalczo, że Kniewicz nie mógł powstrzymać obrzydzenia. Podszedł jednak, podał rękę gościowi i prowadzącemu. Dziękując obu, przeprosił za to, że musi ich opuścić, z powodu niezwykle ważnych obowiązków. Te ważne obowiązki, to chłodne wygodne łóżko, w którym jak miał nadzieję - nie zabraknie Marty Karskiej.

Marta leżała nago na łóżku. Kołdrę zrzuciła na dywan, aby Adam mógł się jej swobodnie przyglądać. Kniewicz uważał, jej ciało za wspaniałe, szczupłe, kształtne - idealnie wyrzeźbione. Dziewczyna uśmiechała się teraz zalotnie, pełznąć wolno po prześcieradle ku miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Jej gęste czarne włosy, niezbyt długie, opadające tuż za szyję, zasłaniały część twarzy.

Nie była zbyt wysoka, ale Adam lubił takie kobiety. Sam, przy 185 centymetrach wzrostu, nie musiał mieć kompleksów, nawet stojąc obok smukłych modelek na obcasach, ale dziewczyny o rozmiarach Marty uważał za najbardziej atrakcyjne.

Jak na złość dotykała teraz leciutko palcem ust, czym doprowadzała go do stanu, który nie pozwalał mu nalewać spokojnie herbaty. Marta piła hektolitry tego napoju, w przeciwieństwie do Adama, który nie znosił ani kawy, ani herbaty.

Śniadanie zwykle popijał sokiem pomarańczowym lub jabłkowym, obiad - wodą i czasem tylko podczas kolacji pozwalał sobie na herbatę, ale zawsze owocową.

Oboje nie palili, więc ten niewinny nałóg Marty nie przeszkadzał mu.

Mimo że wstali tego dnia o piątej rano, aby zdążyć na szóstą trzydzieści do pracy, teraz kochali się, nie żałując sił. Mieli na wypoczynek cały dzień, co było pewnym plusem ich systemu pracy, który pozwalał urwać się do domu już o dziesiątej rano. Adam dobrze wiedział, że jutro przygotowaniu następnego programu będzie musiał poświęcić co najmniej dwanaście godzin, postanowił więc nie marnować czasu.

Czuł jednak bezwstydnie, że te kilkadziesiąt minut seksu chyba mu na dzisiaj nie wystarczy. Stał, nalewając herbatę z czajniczka do filiżanki, i udawał, że nie patrzy na dziewczynę. Wstydził się swojego ciała, uważał, że jest zbyt gruby. Nie miał choćby kilograma nadwagi, jednak na tle jędrnego ciała Marty czuł się nieatrakcyjny. Wielkie, uważne, niebieskie oczy dziewczyny zawsze dostrzegały to zmieszanie redaktora, które bawiło ją i - trzeba przyznać - podniecało. Kochała go takim, jaki był, i podobało jej się, że Kniewicz nie uważa się za supermana.

Był niewątpliwie przystojny, w co nie potrafił w to uwierzyć. Wolał świadomość, że jest dobrym dziennikarzem.

Dziewczyna zatrzymała na chwilę wzrok na gęstej, choć teraz lekko zmierzwionej czuprynie Adama.

- Uwielbiam te twoje fale. – Narysowała nad swoją głową kształt fryzury Kniewicza.

- Marta, jeszcze trochę pokadzisz i wyleję na siebie całą tę herbatę!

Zareagowała na to delikatną zabawą włosami, tymi, które rozpoczynały jej się kilka centymetrów poniżej brzucha.

- Doigrałaś się! - rzekł z udawaną złością. Odstawił szybko czajnik i rzucił się na ofiarę.

- Skąd u ciebie dzisiaj tyle sił? - szepnęła zmysłowo.

- Przecież minęło już całe piętnaście minut! - odpowiedział z oburzeniem.

- Rzeczywiście, to mnóstwo czasu.

Całował ją mocno i długo, ciesząc rękę każdym fragmentem jej ciała, którego mógł dosięgnąć. Przyłgął do piersi dziewczyny, po czym oderwał się na chwilę, aby móc po raz kolejny nacieszyć się ich urodą. Wtargał między jej uda z jeszcze większą furią niż kilkadziesiąt minut wcześniej.

Ciało Marty odpowiedziało zręcznymi ruchami, zdradzającymi zdecydowanie i głód. Mocno chwyciła włosy Adama, aż poczuł ból, a potem uderzyła go w pośladek. Zrewanżował się jeszcze silniejszymi pchnięciami, a coraz głośniejszy oddech dziewczyny budził w nim nowe pokłady energii. Łóżko żałośnie stękało, powolutku zmieniając położenie. Herbata cierpliwie czekała w drżącej filiżance, którą zostawił niebezpiecznie blisko, na stoliku.

Orgazm zaskoczył Martę i wyrwał z niej niekontrolowane, głośnie westchnienie, przypominające jęk bólu. Chwilę później Adam zanurzył twarz w poduszce i krzyknął najgłośniej jak potrafił. Na szczęście dla sąsiadów, dzięki poczciwej poduszce mógł być słyszalny najwyżej w drugim pokoju.

Zamarli na chwilę wyczerpani, po czym mocno przytulili się do siebie. Następnie Adam przewrócił się na wznak, aby odpocząć. Milczeli. Marta obserwowała, jak Kniewicz powoli zasypia. Przyglądała mu się jeszcze kilka minut, aż zorientowała się, jak bardzo sama jest zmęczona. Jakiś czas gładziła włosy swojego mężczyzny, ale wkrótce i ona zasnęła .

Marta wyszła około pierwszej. Umówili się na kolację na siódmą. Żegnał ją z niemałym strachem, o trzeciej bowiem czekała go wizyta u dentysty. Nie pozwolił jej jednak pójść ze sobą. Nie chciał pokazywać swojego lęku, tym bardziej że nie wykluczał ucieczki.

Jak się później okazało, zachował się bohatersko i dotrwał do końca zabiegu. Dentysta wcisnął mu do zęba jakieś lekarstwo i pożegnał sadystycznym uśmiechem.

Mimo że Adam tego nie planował, postanowił zajrzeć jeszcze na chwilę na Woronicza. Nie chciało mu się spać, nie widział więc powodu, dlaczego nie miałby nadrobić trochę pracy na jutro.

- Znowu pan wrócił o tej porze do pracy, panie Adasiu – przywitał go przy bramce stary, znajomy strażnik.
- Takie życie, panie Czesławie.
- Niech pan odpocznie, robota nie ucieknie.
- Przyjechałem tylko na chwilę, chcę mieć jutro trochę mniej biegania – rzucił z uśmiechem Kniewicz i szybko wspiął się na schody.

Nie miał ochoty na obiad, tym bardziej że usiłował nie nadwierać właśnie leczonej górnej szóstki. Wskoczył więc tylko po małą kanapkę do bufetu przy „jedyńce” i pomaszzerował do swojego pokoju.

W redakcji chwilowo nie było nikogo, dokończył zatem spokojnie bułkę z pasztetem i włączył telewizor. W oczekiwaniu na *Teleexpress* wyjął papiery z biurka i zaczął rozpisywać „kawałki” dla reasercherów.

Do pokoju wkroczyła Zośka. Zajmowała się medycyną w „Jedyńce”, a jej zadaniem było pastwienie się nad rzeszami hipochondryków, od których dostawała codziennie tony listów. Miała opinię ekscentrycznej, ale nieszkodliwej fanatyczki.

Adamowi nie przeszkadzało, że zimą i latem chodzi w sandałach, nie mógł jednak zrozumieć, jak jej się udaje przeżyć cały rok w dobrym zdrowiu. Sam na jej miejscu wylądowałby już dziesięć razy w szpitalu na zapalenie płuc. Najgorsze jednak było to, że kiedy śnieg nie pozwalał dojść normalnie z samochodu do budynku telewizji, zamieniała sandały na... kalosze.

Nie kończąca się walka z milionami schorzeń być może dodawała Zośce tyle sił, że nie musiała się martwić takimi drobiazgami jak odruchy wymiotne u redakcyjnych koleżanek na widok jej kolejnej kreacji.

- Będziesz oglądał *Teleexpress*? – spytała mrukliwie, jakby właśnie obudziła się z głębokiego snu.
- Rzucę okiem. Jest tu, do cholery, jakiś normalny długopis?! Znowu mi się wypisał.
- Pewnie Wiesio. Masz coś do żarcia?
- Zjadłem jakąś bułkę. Trzeba było wcześniej przyjść.

Na ekranie pojawił się znajomy animowany parowóz. Po krótkiej czołówce jego przyjaciel z czasów, kiedy obaj jeszcze chałturzyli w radiu, zaprosił na

skrót wiadomości. Pierwsza informacja spowodowała, że Adam szybko odłożył dokument, który właśnie przeglądał, i odruchowo zaczął szukać na biurku pilota, aby trochę pogłośnić.

„Popularny senator Piotr Kamiński nie żyje. Ciało polityka znalazły dziś około godziny piętnastej wracające z urlopu żona i córka zmarłego. Senator został zastrzelony we własnym domu w Izabelinie. Motywy zbrodni nie są jeszcze znane. Policja prowadzi intensywne śledztwo...”

- O kurwa... - wyrwało się Adamowi. Szybko chwycił słuchawkę i wystukał numer telefonu Marty Karskiej.

Dzwonisz do swoich? – mruknęła Zośka. - Nie trzeba. Zaraz sami się zlecą. - Tak? - usłyszał w słuchawce znajomy głos. - Oglądasz to?

- Tak, bardzo go lubiłam. O co tu chodzi?
- Nie mam pojęcia. Od czasów Dębskiego nie słyszałem o niczym podobnym. U nas nie morduje się polityków. Ja pierniczę...
- No, to mamy Zachód... - westchnęła Marta Karska.
- Raczej Wschód... bliski i daleki. Będę chyba musiał zostać trochę w pracy.
- Co ty tam robisz?!
- Wpadłem na chwilę, żeby jutro mieć mniej...
- Dobrze, ale potem przyjdź do mnie... - Marta wyraźnie podkreśliła „do mnie”. – Gdybym trochę się spóźniła, wejdź i poczekaj.
- Coś się stało?
- Nie, ale muszę wyjść na chwilę. - Znow przerwała na kilka sekund, po czym dodała tajemniczo: - Ktoś zadzwonił do mnie z zaświetów...
- Bardzo śmieszne.
- Misiu...
- Nie mów do mnie Misiu. - Adam próbował udawać zagniewanego.
- Nie złość się na mnie, wszystko ci wytłumaczę, pa!
- Pa! - mruknął smutno i odłożył słuchawkę.

W czasie rozmowy obserwował na ekranie migawki sprzed willi senatora, rozpacz żony i córki starających się uciec przed kamerami, wozy policyjne.

Nie mógł zrozumieć, kto chciał jego śmierci. Był jednym z najbardziej lubianych polityków. Ujmujący i sympatyczny na co dzień, zrównoważony i roztropny w Senacie. Jego wrogami mogli być tylko jacyś ekstremiści albo szaleńcy. Prawicowych partii, nawet tych najbardziej radykalnych, o udział w

zamachu raczej nie podejrzewał, choć wiadomo, że ich członkowie z senatorem Kamińskim raczej się nie przyjaźnili.

Ponownie sięgnął po słuchawkę.

- Zadzwonisz na plac Powstańców? – spytała Zośka, kiwając się nad biurkiem Adama.
- Właśnie to robię. Kto najszybciej się wszystkiego dowiedział?
- Pewnie Brzydał. Jak zawsze.
- Masz rację. Daj mi jakiś długopis.

Zośka sięgnęła po pióro leżące na jej biurku.

Kniewicz wystukał numer.

- Redakcja... – usłyszał w słuchawce znajomy damski głos.
- To ty, Ewa?
- Czego chcesz? – spytała z charakterystycznym dla siebie wdziękiem kierowniczka produkcji.
- Co robi Brzydał?
- Píše. Nie będzie chciał z tobą gadać.
- Postaraj się.
- Jeśli do niego podejść, wbije mi w krtań długopis. Obiecał mi to.
- Powiedz, że dam mu bootlega Nickelback.
- A co to jest?
- Taki zespół rockowy. Powiedz mu!

Adam usłyszał, jak Ewa kładzie słuchawkę na biurku.

- *Neurasthenia absolutus*. – Zośka wzruszyła ramionami i podreptała grzebać w szafie.

Kniewicz obserwował, jak drzwi się otwierają i pokój zaczyna się wypełniać.

- Co jest? – dotarł do niego głos Brzydala.
- Cześć, Arek, tu Adam...
- Nic nie wiem.
- Od jak dawna „nic nie wiesz”?
- Trzy godziny temu dostałem cynk. Wiemy tylko to, co nagadali nam gliniarze.
- Byłeś tam?
- No jasne.
- Był ktoś oprócz gliniarzy?
- A o co pytasz?

- No, jacyś tajniacy, kolesie w garniturach. Przecież to był senator.
- Byli wszyscy, których znam, i kilku, których nie znam. Jakiś ważniak nas przegonił. Nigdy wcześniej go nie widziałem.
- Był Cyroń?
- Przez chwilę. Potem ruszył pisać oświadczenia dla prasy. Same pierdoły, nic cię nie zainteresuje. Nickelback ma być jutro na moim biurku.
- Przyślę ci rano, ale jeszcze zadzwonię.

Adam odłożył słuchawkę. Widząc, jak wchodzą kolejni redaktorzy, zdał sobie sprawę, że przed wieczorem stąd nie wyjdzie. Wybrał numer domowy Marty, ale nie odebrała. Pomyślał, że około siódmej zadzwoni do niej na komórkę. Wcześniej nie ma co jej denerwować.

Kniewicz spojrzął na zegarek. Było dobrze po dwudziestej trzeciej. Stał przed drzwiami Marty i naprawdę się niepokoił. Nie odpowiedziała na pukanie, więc wyjął własne klucze i wszedł do środka.

Nie zdejmując butów, wkroczył do sypialni. Jak zwykle panował tu porządek, a jego zdjęcie stało na swoim miejscu. Przyjrzał się sobie na tej fotografii i stwierdził, że mógłby jednak wyjść lepiej. Trzymał na niej słuchawkę telefonu i wydawał jakieś polecenia. Miał na sobie popielaty letni garnitur, a na krawacie widniał bezsensowny szlaczek zaprojektowany przez Dorotę Bralską, jego modystkę.

Na stoliczku przy łóżku, obok jego zdjęcia leżała okładką do góry otwarta książka. Przeczytał tytuł *Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus*. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Tuż obok książki leżał telefon komórkowy Marty, co dodatkowo rozdrażniło Adama. Cofnął się do przedpokoju, by rozejrzeć się za czymkolwiek, dzięki czemu mógłby się domyślić, co się stało. Na ściennym wieszaku na ubrania niczego specjalnego nie znalazł. W szafie wnękowej po drugiej stronie podobnie. Przedpokój kończyły drzwi do obu pokoi, a bardziej po lewej stronie - do łazienki. Po prawej z kolei, tuż za szafą, znajdowało się wejście do kuchni, ale tam, jak ocenił, nic szczególnego od rana się nie zmieniło. Wszedł ponownie do sąsiadującej z łazienką sypialni. Jeszcze raz spojrzął na łóżko pamiętające ich dzisiejsze wyczyny, stoliczek ze swoim

zdjęciem, ale już bez filiżanek z herbatą i sokiem, regał z książkami, dużą jukę w rogu. Nic szczególnego.

W drugim pokoju, w którym prócz dwóch foteli i kanapy stały komputer i telewizor, również nic nie wskazywało na istotne zmiany. Adam stał przez chwilę bezradny, nie wiedząc, co ma właściwie robić.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi. Szybko przeszedł przedpokój, aby otworzyć. W progu stała babina w fartuchu, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie sześćdziesięciolatki. W rzeczywistości była podobno młodsza. Znał ją. To sąsiadką z naprzeciwka, witającą każdego, kto przechodził klatką schodową, lekko uchylonymi drzwiami. Marta twierdziła, że nie ma lepiej poinformowanej osoby niż pani Wiesia.

- Przepraszam, że tak późno - zaczęła nieśmiało babina - ale nie widziałam, żeby pani Marta wracała, a światło się pali.

- Wszystko w porządku, pani Wiesiu, ja jestem w domu - uspokoił ją Adam

- Pani Marta była jakaś dziwna...

- Miała ciężki dzień - przerwał jej i starał się zamknąć drzwi.

- Widziałam z okna, jak wsiadała do takiego czarnego samochodu. To zły znak...

- Pani Wiesiu...

- Pani Marta była bardzo zdenerwowana. Zapisałam rejestrację, bo ja tego pana nigdy nie widziałam - Pokiwała głową dumna ze swego czynu.

Kniewicz powoli zaczynał mieć jej dość.

- Pani Wiesiu, dziękuję za troskę. Powiem Marcie, jak wróci, że pani była. Do widzenia.

- Pani Marta była bardzo zdenerwowana...

- Wiem, wiem. - Udało mu się jakoś zamknąć drzwi.

Sąsiadka jednak zaniepokoiła go. Szczególnie nie spodobał mu się zdanie fragment „tego pana nigdy nie widziałam”.

Wariaci często zauważają rzeczy, które umykają naszej uwadze, pomyślał i znowu spojrzął na zegarek. Pół do dwunastej. Usiadł na kanapie i zastanawiał się chwilę, do kogo zadzwonić. Nie chciał histeryzować, ale nie mógł się pozbyć niepokoju. Postanowił, że zaczeka jeszcze pół godziny i wtedy coś zrobi.

Ryszardowi Snopczykowi nie chciało się odebrać. Telefon dzwonił już przynajmniej od dwudziestu sekund, ale komisarz miał nadzieję, że zamilknie. Był niemal pewien, że o tej porze może dzwonić do niego tylko była żona, głównie po to, aby zrobić mu na złość. Był tak zmęczony, że zasnął pod kocem w ubraniu, a na podłodze wałały się policyjna broń, kajdanki i telefon komórkowy. Wyglądało na to, że aparat nie da za wygraną, więc w końcu sięgnął po słuchawkę.

- Słucham - chrapnął, nie otwierając oczu.

- Przepraszam, Rysiu, to ja, Adam.

Snopczyk poznał łatwo głos przyjaciela.

- Co ci się stało? Napadli cię czy co?

- Nie, ale mam mały problem.

- Która godzina? - Komisarz otworzył oczy.

- Po dwunastej.

- O Boże...

- Rysiek, Marta gdzieś zginęła. Umówiła się ze mną pięć godzin temu, jestem w jej mieszkaniu.

- Stary, to dopiero pięć godzin, zabalowała i tyle. Czekaj spokojnie, a jak nie przyjdzie do rana, to zadzwoń.

- Wiesz, że ona nigdy tak nie robi. Jestem pewien, że coś się stało. - Kniewicz był uparty.

Komisarz usiadł na łóżku i sięgnął po papierosa. Mimochodem spojrzął na jedno z oprawionych zdjęć wiszących na ścianie, na którym Adam wraz z jego pięcioletnią córką trzymają dużą, świeżo złowioną rybę. Mazury dwa lata temu, przypomniał sobie. Snopczyk był drobnym, niewysokim mężczyzną o szczupłej twarzy, przynajmniej o głowę niższym od Adama. Był także trochę starszy od Kniewicza, ale zdjęcie tego nie zdradzało.

- Dzwoniłeś na komórkę? – spytał, usiłując wykrzesać trochę ognia z zapalniczki.

- Zostawiła ją w domu.

- Posłuchaj, możemy zacząć szukać dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Taki przepis, wiesz przecież o tym. Dzisiaj i tak jest sporo burdelu w firmie przez tego senatora.

- Rysiek, kurwa, wiem, co mówię! - Głos w słuchawce był śmiertelnie poważny.

Snopczyk zaciągnął się papierosem.

- Dobra, idź spać, zadzwonię gdzie trzeba.

Odłożył słuchawkę. Przerażenie Kniewicza zrobiło na nim wrażenie. O różne rzeczy można było dziennikarza podejrzewać, ale na pewno nie o zbędne panikarstwo.

Poznali się przy produkcji jednego z programów o zabezpieczaniu mieszkań przed włamaniami. O ile pamiętał, był to pierwszy autorski program Adama, a on pełnił tam funkcję - jak to się ładnie nazywało - konsultanta z ramienia Komendy Głównej Policji. Po pewnym czasie zaprzyjaźnili się, co prócz zwykłej męskiej sympatii dało efekt taki, że komisarz dość regularnie zapraszany był przez Telewizję Polską do współpracy, natomiast redaktor pod czujnym okiem mistrza, pilnie ćwicząc w wolnych chwilach strzelectwo sportowe w piwnicy Hali Mirowskiej, zwanej dumnie klubem „Gwardia”, stał się niezłym zawodnikiem. Raz czy dwa wystąpił nawet w jakichś zawodach, ale mimo że walczył dzielnie, zabrakło mu doświadczenia, by odnieść sukces.

Snopczyk wstał z łóżka i przeszedł się po pokoju. Wyjrzał przez okno, ale niczego ciekawego nie zauważył. Myślał. Wreszcie zgasił papierosa i wybrał numer.

Adam starał się uspokoić. Nie miał wątpliwości, że coś się musiało stać. Nie było już nawet za bardzo do kogo dzwonić. Marta nie miała rodziny, a u żadnej ze znanych mu przyjaciółek jej nie było. Sprawdził to, telefonując jeszcze z pracy. Aby zabić czas, postanowił zrobić sobie coś do picia. Poszedł do kuchni, wyjął torebkę herbaty owocowej, wrzucił do szklanki i wstawił wodę. Odruchowo zajrzał do apteczki. Chwycił opakowanie calmsu i położył dwie tabletki na blacie.

Woda nie zdążyła się zagotować, kiedy zadzwonił telefon.

- Nic jeszcze nie wiem - usłyszał. - Zaraz przyjadą do ciebie chłopaki i trochę się rozejrzą.

- Słuchaj - przypomniał sobie Adam. - Jest tu sąsiadka, która coś widziała. To wariatka, ale może pomóc.

- Czekaj na chłopaków - powtórzył z naciskiem Snopczyk.
  - A ty? - Adam poczuł się trochę bezradny.
  - Ja dojadę później, nie martw się.
- Komisarz odłożył słuchawkę.

Dzwonek poderwał Adama z fotela.

Prawie natychmiast znalazł się przy drzwiach. W progu stało dwóch umundurowanych policjantów i jeden w cywilu, wyższy od pozostałych o głowę. Kwaśne miny obu mundurowych wskazywały po pierwsze na to, że dawno już nie spali, po drugie zaś - że nie są specjalnie zachwyceni obecnością w tym miejscu, zwłaszcza o tej porze. Policjant w garniturze wyraźnie był najbardziej rzeński. Być może dlatego to on odezwał się pierwszy.

- Pan Adam Kniewicz? - spytał.

- Tak, proszę wejść.

- Dobry wieczór... - Policjant przedstawił siebie i kolegów, ale Adam nie zwrócił uwagi na żadne z nazwisk. - Tu podobno gdzieś mieszka kobieta, która wie coś o tej sprawie...

- Tak. To ta pani, która... o, właśnie wychodzi - odpowiedział Adam, widząc, jak coraz szerzej otwierają się drzwi naprzeciwko.

Na panią Wiesię każde nowe, sensacyjne zdarzenie działało jak potężny magnes. Wyglądało na to, że dla dobra sprawy zrezygnowała nawet ze snu.

- Dobry wieczór - rzekł z kolei niższy i grubszy z umundurowanych funkcjonariuszy do zaaferowanej sąsiadki Marty, pełnej nadziei, że policjanci będą zadawali jej dużo pytań. - Czy możemy z panią chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Zapraszam, upiekłam ciasto. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Umundurowany grubas i wysoki, ubrany po cywilnemu zniknęli za drzwiami pani Wiesi, natomiast trzeci, niewątpliwie najmłodszy z funkcjonariuszy wprosił się do mieszkania Marty. Wyglądał jeszcze prawie na ucznia, a w jego oczach widać było cień niepewności.

Nie zadawał żadnych pytań. Poprosił tylko o pozwolenie na rozejrzenie się po mieszkaniu. Adam usiadł na kanapie i prawie się uspokoił. Był bardzo zmęczony. Nie spał od wielu godzin i nie wyglądało na to, aby miał się w najbliższym czasie położyć.

Dwóch policjantów wróciło po trzydziestu minutach.

- Będzie pan tutaj do rana? - spytał wysoki.

- Tak.

- Możemy się tutaj umówić na siódmą rano?

- Oczywiście, ale jeżeli panowie chcą porozmawiać....

- Nie teraz - przerwał mu dryblas. - Musimy szybko jechać na komendę. Ta pani podała nam bardzo istotne informacje. Nasz kolega zostanie z panem, jeśli pan chce.

- Nie chcę robić kłopotu...

- Tak nawet będzie lepiej. Zenek! – Cywil machnął znacząco na młodego.

- Myśli pan...?

- Proszę się nie denerwować, znajdziemy ją. Niech pan się zdrzemnie. Wszystkim się zajmujemy.

Podeszli sprężystym krokiem do drzwi, po czym szybko zasalutowali i wyszli.

Adam stał chwilę w przedpokoju bezradny jak dziecko. Policjant, który z nim został, przez jakiś czas przyglądał mu się z niepokojem.

- Szef ma rację. Niech pan się położy – powiedział nieśmiało.

- A co pan będzie robił?

- Ja poczekam na dalsze meldunki.

- Na meldunki?

- Tak. Koledzy pewnie przeszukają dzisiejsze doniesienia o... no... wypadkach.

Adam na chwilę zamknął oczy.

- Tak. Spróbuję się trochę zdrzemnąć. Niech pan się czuje jak u siebie.

Ryszard Snopczyk siedział na tylnym siedzeniu służbowego volvo i przyglądał się bezmyślnie migającym za oknem drzewom. Dochodziła piąta rano, ale poprosił kierowcę, aby się nie śpieszył. Śledził przez kilka sekund pojedyncze krople deszczu spływające po szybie, by za chwilę ponownie przenieść wzrok na drzewa. Czuł dziwne otępienie, a nawet senność. Puławska była niemal całkowicie pusta. Noc kończyła się powoli, ale wciąż było ciemno. Deszcz przestawał padać, lecz komisarz zdawał się tego nie zauważać. Jego

oczy wciąż były niemal nieruchome, jakby chciały odpocząć po ciężkim wysiłku lub zapaść w krótki letarg.

- To już tutaj, skreć w lewo - mruknął cicho do kierowcy.
- Mam iść z panem? - spytał, nie odwracając głowy, siedzący przy kierowcy mężczyzna w bardzo już niemodnej marynarce w kratę.
- Tak. Zatrzymaj tutaj - rzucił komisarz do szofera.

Deszcz jeszcze trochę siąpił, ale Snopczyk nie sięgnął nawet po parasol.

Wysiadł z samochodu i nie zwracając uwagi na drepczącego za nim mężczyznę w marynarce, szybko wszedł na piętro, po czym zapukał do drzwi Marty Karskiej. Otworzył mu prawie natychmiast Kniewicz.

- Nie przyszła - jęknął dziennikarz.
- Wiem - odparł policjant - Znaleźliśmy ją.

Adam przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nic nie rozumiał, ale potem cofnął się o pół kroku, próbując złapać równowagę. Nagle doznał uczucia, jakby w jednej chwili stracił władzę w nogach.

- Nie wiesz nawet, jak mi przykro - kontynuował Snopczyk. - To doktor Cuch. - Wskazał na mężczyznę w marynarce. - Da ci coś na uspokojenie.

- Jesteś pewien, że to ona? Może to pomyłka?
- Dzisiejsza noc była... okropna - odpowiedział cicho komisarz. - Znalezione dwie dziewczyny, jedna odpowiadała rysopisowi Marty. Naprawdę mi przykro. Miała tu jakąś rodzinę?
- Rysopis to jeszcze... - bronił się Adam.
- Widziałem ją - rzekł dobitnie Snopczyk.

Kniewicz odwrócił się wolno i wszedł do pokoju. Komisarz skinął głową doktorowi i poszedł za przyjacielem.

- Nie, ona w ogóle nie ma rodziny. Wychowywała się w domu dziecka - powiedział z niemałym wysiłkiem Adam, siadając na kanapie.

- Zatem jako najbliższa osoba ty będziesz musiał ją zidentyfikować.
- Gdzie ona jest?
- U sądowego. Masz siłę iść?
- Mogę na chwilę pojechać do domu? Nie byłem tam od jakiegoś czasu...
- Odwiozę cię, a później pojedziemy razem do... w każdym razie pojedziemy razem - Snopczyk nie wiedział, jak się zachować.
- Chce pan coś na uspokojenie? - spytał lekarz.

- Mam w domu wszystko, czego mi trzeba - odparł szybko Kniewicz, wciąż patrząc na komisarza. - Gdzie ją znaleźliście?

- Na brzegu, niedaleko działek na Siekierkach. Patrol rzeczny ją wypatrzył.

- Na pewno nic pan nie potrzebuje? - spróbował raz jeszcze doktor Cuch.

- Na pewno. Poczekajcie, ubiorę się.

Wychodząc z mieszkania, Marty Adam czuł się jak w transie. Gdy schodził ze schodów, miał wrażenie sztywności karku i bezradności nóg wobec ciężaru, które nosiły.

Snopczyk zaprosił go do swego samochodu.

- Moglibyśmy pojechać moim? - spytał Adam. - Mam w nim kilka rzeczy, które chciałbym mieć teraz przy sobie.

- W porządku, ale ja poprowadzę. Czesiu, weź pana doktora i wracajcie - rzucił w stronę kierowcy.

Adam bez słowa wręczył mu kluczyki.

Komisarz szybko uruchomił hondę Kniewicza i ruszył w kierunku Ursynowa. Jakiś czas jechali w milczeniu. Była to jedna z tych niezręcznych chwil, w których nic nie da się zrobić, aby poprawić atmosferę lub cokolwiek zmienić. Dziennikarz powoli wychodził z szoku. Nadal jednak był bezradny jak dziecko wobec myśli, które torturowały go bezlitośnie, a nie wyglądało na to, by w najbliższym czasie miało się to skończyć. Czuł, że mięśnie ma wciąż sztywne, ból karku nie mija, a drżenia rąk nie potrafi powstrzymać. Marzył, aby organizm pozwolił mu zwyczajnie wziąć się w garść.

- Rysiek... - zauważył, że głos ma dziwnie zachrypnięty - Jedźmy od razu tam, gdzie mamy jechać.

- Nie chcesz do domu?

- Chciałem tylko chwilę odetchnąć, wychylić jakieś whisky, ale to nie ma sensu...

- Ma sens - przerwał mu Snopczyk. - Też się chętnie napiję. Do kostnicy możemy pojechać równie dobrze za godzinę albo dwie.

Słowo „kostnica” przeraziło Adama. Z rozmysłem cały czas unikał rozmowy na ten temat. Teraz jednak chciał poznać szczegóły.

- Jak zginęła? - wyrwało mu się.

- Strzał w tył głowy - odpowiedział komisarz jakby nigdy nic - Mały kaliber, wychodząc, kula uszkodziła czoło, ale reszta jest nietknięta.

Dokładność policjanta zgorszyła Adama, ale brnął dalej.

- Myślisz, że mogła cierpieć?
- Najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy, że umiera.

Chwila ciszy pomogła trochę odpocząć Kniewiczowi.

- Rysiek - dziennikarz przerwał na chwilę, aby nabrać głęboko powietrza - to nie ma sensu. Ona była tylko realizatorem dźwięku, nie miała wrogów, majątku, nawet rodziny...
- Kiedy wychodziła z domu, był z nią jakiś facet - odparł Snopczyk. - Tak przynajmniej twierdzi ta sąsiadka. Co się działo wcześniej, nie wie. Nie było jej kilka godzin, wyjechała do córki. Przesłuchamy oczywiście sąsiadów z góry i z dołu, ale na tym piętrze nikt już, jak wiesz, nie mieszka.
- Słuchaj, może...
- Nie, nikt jej nie zgwałcił, nie ma żadnych śladów przemocy. Tak przynajmniej wynika ze wstępnych oględzin. Facet, z którym wychodziła, również na bandytę nie wyglądał. Mały, chudy, w okularach. Mógł nie mieć z tym nic wspólnego. Może to tylko kolega z pracy, zresztą znajdziemy go i się dowiemy.
- Co ja mam teraz robić? - Adam ukrył twarz w dłoniach, ale starał się nie sprawiać wrażenia histeryka.
- Pogadamy jeszcze o tym, zaparkuję przed domem - zmienił temat policjant, dostrzegając dom Kniewicza. - Zaraz wyjeżdżamy, nie?
- Nie znajdziesz miejsca o tej porze, ale spróbuj - mruknął Adam, patrząc w zupełnie inną stronę.
- Cholera, nic chyba nie wykombinuję... - burknął Snopczyk zły, że nawet w takim momencie mają pecha.
- Skręć w tę małą uliczkę po prawej i wjedź między bloki, tam mało kto parkuje - rzucił dziennikarz nie odwracając się.
- Snopczyk wprowadził wóz na niewielki plac.
- Obaj mężczyźni wysiedli ciężko z samochodu.
- Zawsze przed twoim domem były wolne miejsca - burczał wciąż komisarz. Adam zignorował jego uwagę i otworzył kodem drzwi klatki schodowej.
- Obaj stracili wcześniej tyle energii, że już na drugim piętrze poczuli zmęczenie.
- Masz w domu tę whisky? - spytał dla porządku Snopczyk.

- Tak, kupiłem ją dzisiaj, to znaczy wczoraj po robocie. Myślałem, że... -  
odpowiedział Kniewicz, zatrzymując się na chwilę.

- W porządku – wtrącił szybko Snopczyk.

- Zaraz... cholera, nie wziąłem jej przecież z bagażnika.

- Pójdę po nią - oświadczył policjant.

- Nie, ja pójdę - mruknął Adam cicho, ale zdecydowanie. - Oddaj mi kluczyki i wejdź już do mieszkania.

Wymienili się kluczami.

- Na pewno?

- Na pewno, nie nudź - rzucił Kniewicz, nie odwracając się. – Chcę się przejść sam schodami, w porządku?

Zszedł piętro niżej, po czym się zatrzymał. Usłyszawszy zgrzyt zamka, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potężny huk ogłuszył go do tego stopnia, że odruchowo padł na schody. Wybuch targnął drzwiami, rzucając je na balustradę. Dwa potężne metalowe przedmioty przypominające śruby uderzyły o przeciwległą ścianę. Kilogramy kurzu, który wziął się nie wiadomo skąd, w sekundę wypełniły klatkę schodową. Pojedyncze przedmioty wirowały w powietrzu, by za chwilę upaść, tworząc jakby echo eksplozji. Adam zasłonił głowę rękami i jeszcze mocniej przypadł do schodów. Nie miał odwagi się ruszyć, nawet gdy już wszystko powoli cichło. Nie słyszał krzyku przyjaciela, a fakt, że nikt z sąsiadów nie otwiera drzwi, zdziwił go. Nie uderzył o nic, ani nic nie uderzyło w niego, ale dusił go kurz, poruszył się więc nieznacznie, aby wypluć fragmenty cementu. Adrenalina dodała mu sił, lecz strach nie pozwalał na szybkie ruchy. Rozejrzał się wolno i ogarnęło go przerażenie.

- Rysiek! - Chciał krzyknąć, ale wydusił z gardła tylko nic nie znaczący charkot.

Powoli, pełznąć na czworakach, wspiął się po schodach, aby dotrzeć do policjanta. Ciało Ryszarda Snopczyka, wygięte w nienaturalny sposób, wgniecione było w pręty balustrady, a resztki ubrania wciąż się jeszcze tliły. Jego twarz - czy raczej to, co z niej zostało - wydała się Adamowi czarną, bezkształtną masą. Cofnął się i z wymiotował.

Nagle zerwał się na nogi i oparł o ścianę. Zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo sytuacja go przerosła, i poczuł zimny strumyczek potu spływający po kręgosłupie.

- Myśleć! Myśleć! - Uderzył kilkakrotnie dłonią w czoło.

Podszedł ostrożnie do okna na klatce schodowej i wyjrzał na zewnątrz, starając się, aby nikt go nie zobaczył. Widok za zbitą szybą obejmował kilka samochodów stojących przed frontem budynku. Wciąż było ciemno, więc nie mógł dostrzec, czy w którymkolwiek z nich są jacyś ludzie. Teraz dopiero usłyszał krzyki zza drzwi niektórych mieszkań.

Jeszcze raz spojrział na schody. Nie wyglądały na uszkodzone. Przyłgął do ściany i zaczął wolno schodzić. W dłoni trzymał kurczowo kluczyki do samochodu, starał się, aby nie było słyhać nawet jego przyśpieszonego oddechu. Nie spotkał nikogo. Ludzie bali się jeszcze wyjrzeć na klatkę schodową. Gdy znalazł się na parterze, po prawej skrzypnęły drzwi. Postać, która pojawiła się w progu, była równie przestraszona jak on.

- O Boże! Pan Adam... - jęknął zaskoczony przysadzisty mężczyzna.

W jednej chwili redaktor znalazł się przy sąsiedzie.

- Panie Zygmuncie - szepnął, wciąż się rozglądając - niech pan natychmiast wezwie policję. Ktoś podłożył bombę w moim mieszkaniu. Tam, na górze, zginął człowiek.

- A pan?!... - Przerazone oczy mężczyzny sprawiały wrażenie lekko zamglonych.

- Ja... ja chyba muszę uciekać. Niech pan nie wychodzi z domu, dopóki nie przyjadą.

Adam dopilnował, aby pan Zygmunt dobrze zamknął drzwi, po czym podszedł do wyjścia na podwórko. Dziękował Bogu, że nie zostawili samochodu od frontu. Odważył się nacisnąć klamkę. Grupki ludzi, najczęściej w szlafrokach, podążały w tym kierunku, aby zobaczyć, co się stało.

Poczuł się bezpieczniej. Nie wierzył, aby ktoś zdecydował się zrobić mu krzywdę przy tylu świadkach, zdając sobie sprawę z tego, że jedzie już tu policja. Podszedł odważnie do samochodu. Nie mógł się powstrzymać od zajrzenia pod podwozie. Chociaż nie wiedział, jak wygląda bomba, liczył na to, że w razie niebezpieczeństwa zauważy jakąś różnicę.

- Jestem idiotą - mruknął do siebie. - Przecież przed chwilą wysiadłem z tego samochodu.

Wskoczył szybko do środka i natychmiast uruchomił silnik. Mimo wszystko odetchnął z ulgą. Ruszył drogą między blokami, starając się dotrzeć do głównej ulicy inną trasą, niż przyjechał ze Snopczykiem. Gdy dotarł do niej, nacisnął zdecydowanie pedał gazu. Co chwilę patrzył we wsteczne lusterko. Na szczęście

nikt za nim nie jechał, co uznał za cud. Skreślił w stronę lasu kabackiego. Jeszcze nie wiedział, dokąd jechać, ale chciał jak najszybciej uciec z tego miejsca.